



Wojciech Cesarz
Katarzyna Terechowicz

NOWE PRZYGODY
GRZECZNEGO PSA



LITERATURA

Dla naszego Roberta,
bez którego nie byłoby tej książki

Katarzyna Terechowicz, Wojciech Cesarz
Nowe przygody grzecznego psa

© by Katarzyna Terechowicz

© by Wojciech Cesarz

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Joanna Rusinek

Korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie III

ISBN 978-83-7672-394-5

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

Wrrr... znowu ten paskudny bernardyn? Przechodził sobie jak gdyby nigdy nic obok MOJEGO płotu, poszczekując na mnie tym swoim basem. Doskoczyłem do ogrodzenia i natychmiast zapadła cisza. Obwąchałem przeciwnika przez siatkę, trąciliśmy się nosami i bernardyn podreptał posłusznie za swoim panem. Właściwie to nic do niego nie mam, ale trochę mnie denerwuje, że jest taki duży. Ja też nie jestem mały, ale ten cały bernardyn stanowczo przesadził. A poza tym nie lubię, jak ktoś patrzy na mnie z góry.

Pamiętacie mnie jeszcze? Nazywam się Winter i podobno jestem już prawie dorosły. Prawdę mówiąc, dokładnie nie wiem, co to znaczy – ale wydaje mi się, że nic ciekawego. Ludzie ciągle przypominają mi, żebym się dobrze zachowywał, bo przestałem już być szczeniakiem. Nie trzeba mi tego powtarzać – zawsze byłem grzecznym psem i nie zamierzam się zmieniać.

W naszym domu oprócz mnie mieszka jeszcze Henryk z Hanką, Alek i Julia. No i Rudy, który niedawno dołączył do naszego stada. Henryk i Hanka mówią o nim, że jest „wielorasowy” – chyba wydaje im się, że „kundel” brzmi obraźliwie. Dziwni ci ludzie, słowo daję, co to za różnica? Ja jestem na przykład rasowym alaskanem malamutem. Mam nawet specjalny rodowód (dokładnie nie wiem, o co chodzi, ale to jest podobno coś ważnego) – i wcale nie zadzieram z tego powodu nosa. Po prostu taki się urodziłem. Pewnie jesteście ciekawi, jak wyglądam? Jestem szary, mam biały ogon z szarą kitką, biały pyszczek, a wokół oczu takie śmieszne szare okulary. Jak byłem mały, to miałem przy nosie różową łatkę, ale mi zarosła.

Rudy jest... rudy (choć Hanka mówi, że jest brązowy), ma białe łapki w rude kropki i takie śmieszne, lekko oklapnięte uszka, które mu podskakują, kiedy biegnie. Jest chyba ze cztery razy mniejszy ode mnie, ale nadrabia sprytem i bezczelnością. Rudy zawsze wszędzie się wkręci – wlezie tam, gdzie go nie chcą, a potem udaje, że jest zaproszony. Robi przy tym minę niewiniątka, a jest niezłym rozrabiaką i nieraz mam przez niego kłopoty. Na przykład ostatnio, jak ganialiśmy się po domu – stłukł się porcelanowy, podobno jakiś cenny dzbanek. Gdy Henryk wrócił z pracy i zobaczył skorupy, to bardzo się zdenerwował, a potem podszedł do mnie z groźną miną i zapytał:

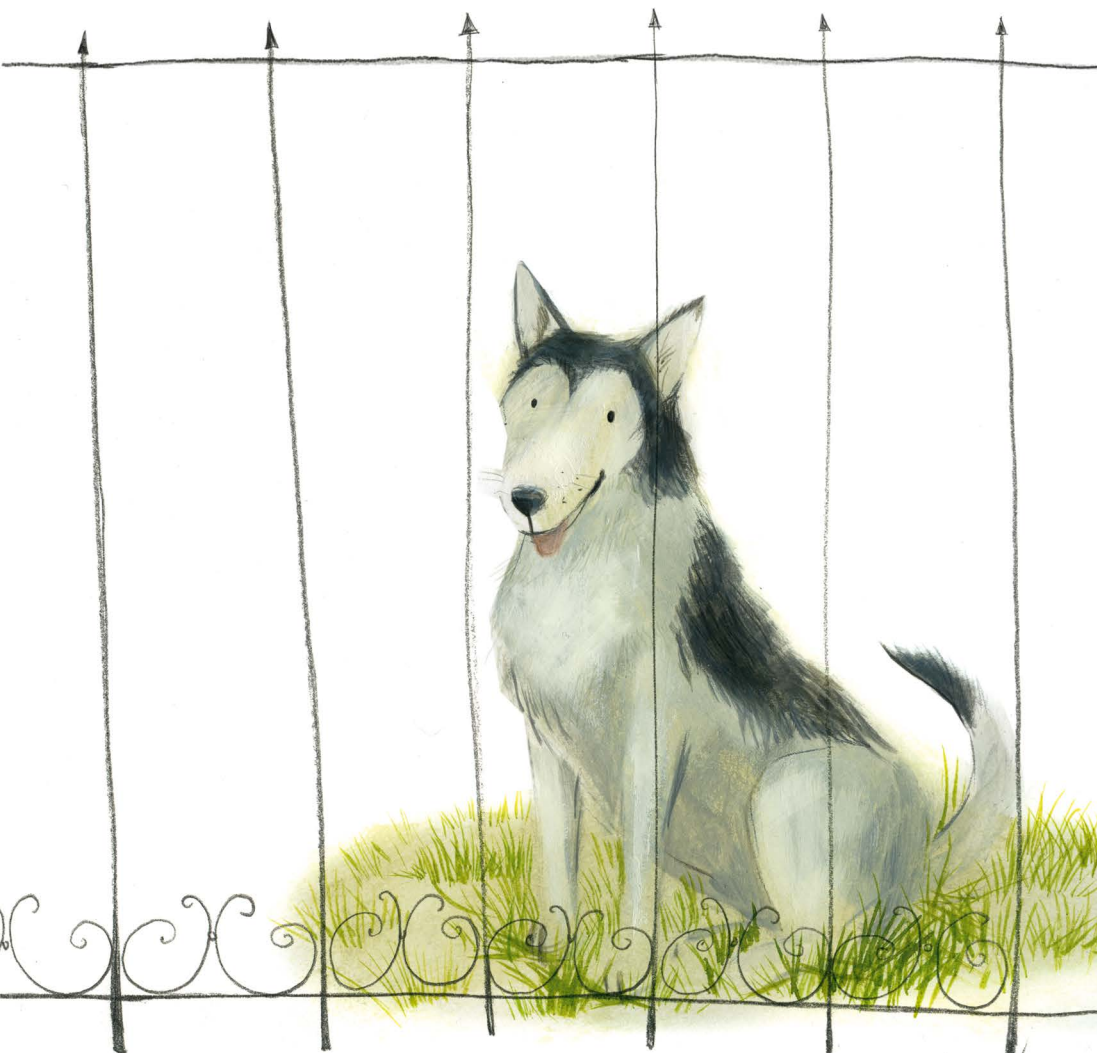
– Co to było, Winter?!

Nie rozumiem, dlaczego mnie o to pyta – przecież dobrze wie, że to był porcelanowy dzbanek i że ktoś go

stłukł. Poza tym byłem przekonany, że to sprawka Rudego, ale Rudy... no właśnie. Zrobił tę swoją minkę, uszy mu całkiem oklapły i zaczął się trząść jak galareta.

– Nie krzycz tak, nie widzisz, jak to działa na Rudego? – zirytowała się Hanka.

Henryk westchnął ciężko i podrapał Rudego za uchem, mrużąc „dobry piesek”, a do mnie warknął:



– Żeby mi to było ostatni raz, Winter!

To ma być sprawiedliwość? Sami widzicie, że można się zdenerwować. Poza tym w czasie spacerów Rudy biega sobie luzem, a ja chodzę na lince albo na smyczy. Nie wiem, dlaczego wszystkim się wydaje, że jak nie będę przypięty, to zaraz ucieknę. Gdy na horyzoncie pojawia się większy od ratlerka pies – Rudy momentalnie się jeży jak jakiś dinozaur i chowa pod moim brzuchem. Co jakiś czas wychyla łeb i obszczekuje wroga. A kto jest wrogiem Rudego? Każdy, kto na jego widok nie umiera ze strachu. W rezultacie muszę wyjaśniać różne nieporozumienia i bronić honoru stada, co wcale nie jest łatwe...

Ostatnio na przykład dość długo przemawiałem do rozumu pewnemu rottweilerowi – nie dość, że się strasznie napracowałem, to jeszcze Henryk miał do mnie pretensje, zupełnie nie wiem o co. A Rudy, jak to Rudy... siedział cały czas w krzakach, a na końcu obszczekał rottweilera.

Mój dotek pod wisnią

Lato tego roku było wyjątkowo słoneczne i upalne – dzień w dzień z rozgrzanego nieba lał się żar. Te tropiki to nie dla mnie – jestem w końcu psem z Alaski, a moja ulubiona pora roku to oczywiście zima. W domu było za gorąco, więc noce spędzałem w ogrodzie albo na tarasie.

W ogóle muszę wam powiedzieć, że ogród jest (szczególnie dla psa) niesamowicie fajną sprawą – do niedawna mieszkałem w bloku, na trzecim piętrze, i mnóstwo czasu spędzałem na balkonie. Teraz mam własny teren i co rano robię obchód, obsikując to i owo. Raz obsikałem jakieś specjalne róże i wybuchła awantura. Nie wiem, o co tyle hałasu, bo tylko się pokłusem w okolicach ogona. Więcej już się tam nie zbliżę.

Pewnego dnia, gdy było niemożliwie wprost gorąco – Henryk wpadł na beznadziejny pomysł, żeby ochłodzić atmosferę i zaczął mnie polewać lodowatą wodą prosto z gumowego węża. Znienacka uderzył we mnie zimny strumień. To było okropne. Miałem wodę w oczach, uszach, wszędzie. Podczas ucieczki stratowałem parę krzaków, trzy drzewka i jakieś klomby, kilka razy okrążyłem ogród, a w końcu schroniłem się w zakamarku pod schodami. Hanka zbeształa Henryka:

– Co ty robisz? Dlaczego męczysz psa? Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie to musiało być dla niego nieprzyjemne?

Zrobiłem bardzo nieszczęśliwą minę. Hanka spojrzała na mnie ze współczuciem.

– Zobacz, jaką ma minę! Biedaczek, przeżył tragedię. Nie wiem dokładnie, co to jest „tragedia”, ale racja... chyba to przeżyłem.

– O co tyle hałasu? Ja chciałem tylko... – tłumaczył się Henryk.

– Henryku, trzeba myśleć! Sam się polej zimną wodą ze szlauchu, a zobaczysz, jaka to przyjemność – prychnę-

ła Hanka, po czym podeszła i delikatnie podrapała mnie za uchem.

Siedziałem w ciemnym zakamarku pod schodami i cały się trząsałem. No, może trochę przesadzam. Tylko trochę dygotałem... ze złości. To polewanie zimną wodą rzeczywiście było okropne. Lubię się taplać w kałuży czy w strumieniu, ale to zupełnie co innego. Po chwili przyszedł do mnie Henryk. On też podrapał mnie za uchem i pogładził po pyszczku.

– Przepraszam, Winter. Chciałem dobrze, ale... wyszło tak sobie – mruknął lekko zawstydzony.

Polizałem go po ręce. Naprawdę lubię Henryka – co prawda czasem zdarza mu się (jak wszystkim ludziom) popełniać błędy i robić drobne głupotki, ale nie jestem



drobiazgowy ani pamiętliwy. Potem poszedłem do ogrodu i wpadłem na dużo lepszy pomysł – dla ochłody wykopalem sobie ocieniony dołek pod wiśnią, w samym rogu działki. Włożyłem w to trochę pracy, bo przecież nie jestem kretem. Dołek był naprawdę super, dokopałem się do mokrej ziemi – co wcale nie było takie łatwe, bo musiałem się uporać z jakimiś wstrętnymi, oślizgłymi korzeniami. Leżałem w nim całe popołudnie. Niestety, dziurę zauważyła Hanka.

– Henryku, zakop, proszę, ten dołek pod wiśnią, w rogu ogrodu. Winterkowi widocznie było gorąco. Męczy się w tym upale.

Henryk, mrużąc coś pod nosem o psach szkodnikach, powłókł się z łopata w róg ogrodu. Wrócił stamtąd



spocony i zasapany, a potem podreptał do domu oglądać telewizję. A mnie było bardzo, bardzo gorąco, więc... po kilku minutach znów leżałem w chłodnym dołku pod wiśnią, obserwując tłustą muchę, która robiła rundy wokół mojego nosa. Tym razem dołek był o wiele głębszy. Henrykowi już tak łatwo nie pójdzie psucie mojej pracy!

Po południu, gdy zaszło słońce – zrobiło się chłodniej, więc wylazłem z jamy i poszedłem do kuchni sprawdzić, jak wygląda moja miska. Była pusta. Co prawda mgliście pamiętałem, że dzisiaj zjadłem już pełną porcję, ale zawsze widok pustej miski jest dla mnie oburzający. Sam nie wiem, czy to uczucie ssania w żołądku nie było nawet gorsze od polewania zimną wodą? Rozejrzałem się po kuchni, ale nic godnego uwagi nie pojawiło się w zasięgu mojego wzroku. Chociaż... co to jest?

Na stole leżało COŚ. Po krótkiej chwili doszedłem do wniosku, że smakołyk przeznaczony jest dla mnie, tylko Hanka zapomniała go włożyć do mojej miski. Już szykowałem się do skoku, gdy w kuchni pojawił się Rudy. Wyraźnie się oblizywał, więc ostrzegłem go warknięciem, żeby trzymał się z daleka od mojej kolacji i czekał na swoją kolej. Łypnął na mnie i zrobił zeza, co znaczyło w jego języku: „Ależ owszem, wręcz przeciwnie”. Niby takie niewiniątko, ale... trzeba na niego uważać.

Co leżało na stole? Tego nie dowiem się już nigdy, bo gdy oparłem się dwoma łapami o stół, do kuchni wpadła Hanka. Zrobiło się lekkie zamieszanie – Rudzielec wydał z siebie przeraźliwy pisk i zaczął głośno płakać, bo

Hanka niechętnie nadepnęła mu na łapę. Już sięgałem po smakowity kąsek, ale z tego pośpiechu trochę za mocno trąciłem talerz, który spadł na podłogę, rozbijając się tuż przed nosem Rudego. To się nazywa pech. Kątem oka zauważyłem, że moją kolację pożera Rudy, który cudownie ozdrowiał i nagle zapomniał o bolącej łapce. A mnie Hanka przegoniła ścierką.

Na trawniku zderzyłem się z Henrykiem, który galopował do domu, zaniepokojony hałasem. Ale bez paniki, prawie nic się nie stało. Henryk przeleciał w powietrzu najwyżej dwa albo trzy metry, zrobił salto i wylądował na plecach wśród lewkonii, na ulubionym klombie Hanki. Zapanowała niepokojąca cisza. A potem... pewnie się domyślcie. Najgłośniejszy krzyczał Henryk, choć Hankę też trochę było słychać.

– Ten potwór mnie załatwił! – zawodził Henryk. – Moja ręka, moje plecy!

– Uważaj na moje kwiaty! Nie miałeś gdzie się przewracać? – rozpacziała Hanka.

– Co? Kwiaty? Nie interesuje cię, czy żyję?

– Przecież słyszę, że żyjesz. Biedny Winterek, chyba nic mu nie jest? – zaniepokoiła się Hanka.

Potem rozmowa przeniosła się do kuchni, gdzie obwiniano mnie za rozbity talerz i jeszcze za coś, ale nie bardzo rozumiałem za co, bo co ja mam wspólnego ze stłuczeniami Henryka? Ciekawe, że nikt nie miał pretensji do Rudego, który zjadł moją kolację. Ten wieczór nie zapowiadał się dobrze – bolał mnie nos, na który wpadł Henryk, i byłem głodny. To niesprawiedliwe. Przecież to

Henryk wpadł na mnie, a potem zniszczył klomb. Co ja mam z tym wspólnego?

Poszedłem do ogrodu i zawiłem do księżycy. Po chwili przysła Hanka i dała mi na pocieszenie pyszny kawałek kurczaka... i wtedy sobie przypomniałem, że nie umiem się długo gniewać, po prostu taki już jestem. Więc wybaczyłem wszystkim (Rudemu nie całkiem) te awantury i hałasy. A potem poszedłem sobie cichutko do mojego ulubionego, tajnego zakątka pod jabłonką, żeby spokojnie poleżeć i popatrzeć na gwiazdy. Chyba mnie wołali, ale było mi dobrze i wcale nie miałem ochoty wracać do domu. Słyszałem, jak Henryk chodzi po ogrodzie.

– Weź latarkę – zaproponowała Hanka.

– Po co mi latarka? Znam przecież swój ogród. Winter, Wiiiinter!!! – nawoływał.

A później... usłyszałem stłumiony krzyk, a potem jęk – to Henryk, nie wiem jakim cudem, wpadł do mojego dołka pod wiśnię. No tak, pełen spokoju i zadumy nastrój prysł. Dlaczego ci ludzie są tacy hałaśliwi?

Henryk krzyczał dość długo coś o bestiach, które rujnują jego życie i tak dalej. Nie wiedziałem, dlaczego on tak strasznie lamentuje, więc na wszelki wypadek nie wychodziłem ze swojego kąta i leżałem sobie spokojnie pod jabłonką. Krzyczałby pewnie jeszcze dłużej, ale jakiś pan z sąsiedniego ogrodu zapytał grzecznie, czy Henryk dostał pomieszania zmysłów i czy przypadkiem nie wie, która jest godzina? Henryk mu odpowiedział, że on nie krzyczy, tylko dyscyplinuje psa, a pod swoim oknem może sobie robić, co mu się żywnie podoba. Myślałem,